Przygody Mateusza Jarząbka : powiastka nagrodzona na powtórnym konkursie Gazety Świątecznéj

Trzcińska, Wanda

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/cf33ac6f-f52b-4f01-be50-de001ca5ab94
Data wygenerowania dokumentu pdf
10.01.2025

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony
Przygody Mateusza Jarząbka : powiastka nagrodzona na powtórnym konkursie Gazety Świątecznéj
Autor
Trzcińska, Wanda
Adres wydawniczy
Warszawa : Księgarnia Krajowa i Gazeta Świąteczna Konrada Prószyńskiego, 1888 ([Warszawa] : M. Ziemkiewicz).
Data powstania dokumentu
1888-01-01
Język
polski
Sygnatura
1.575.516

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Biblioteka Narodowa
Obiekt zdigitalizowany w ramach projektu:
Patrimonium

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI KRAJOWEJ
Konrada Prószyńskiego.

PRZYGODY MATEUSZA JARZĄBKA.

Powiastka nagrodzona

na powtórnym konkursie

Gazety Świątecznéj,

napisana pod nazwiskiem

Wandy z Dowgiałów Trzcińskiéj.

Księgarnia Krajowa i Gazeta Świąteczna
Konrada Prószyńskiego
w WARSZAWIE,
ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 43.

1888.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE

I 1.575.516

Дозволено Цензурою.
Варшава. 16 Января 1888 г.

W drukarni M. Ziemkiewicza Krak. Przedm. Nr. 17.

Rozdział pierwszy

o tém, że Mateusz Jarząbek jest bogaty, Wojtuś wesoły, a nauczyciel chudy.

W karczmie, we wsi Drągach, siedzieli za stołem trzej gospodarze i wesoło gawędzili.

Był to piątek. Wracali oni z targu, z miasta. Marcin Olszewski z Zaborówka spójrzał w otwarte okno i rzekł:

— No, patrzajta, już południe! Dzwonią w kościele...

Siedzący obok niego Mateusz Jarząbek, bogaty gospodarz ze Starych Bud, powiedział:

— Toświa dobrze jechali. Hej! panie Jankiel, dajno jeszcze kwartę piwa!

A obróciwszy się do swego czternastoletniego syna, zapytał:

— No... co, Wojtuś, napijesz się?

— A napiję—rzekł Wojtuś, wyszczerzając zęby.

O, ten Wojtuś był bardzo wesoły; przysłuchiwał się dzwonom i powtarzał:

— Dyń-dyń! dyń-dyń!

Wtedy ośmioletni Kubuś, syn Olszewskiego, wysadzał głowę zpoza ojca i także mówił:

— Dyń-dyń! dyń-dyń!

— Cichojta!—odezwał się do chłopców Stach Brykała, kolonista z Drągów.—Grzech przedrzeźniać dzwony! Lepiéj byśta zmówili „Anioł Pański“.

W téjże chwili drzwi od karczmy się otworzyły i wszedł Jan Kukułka, nauczyciel szkółki wiejskiéj, która stała naprzeciwko karczmy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—powiedział, skłoniwszy się gospodarzom.

— Na wieki wieków, amen!—odrzekli oni.

Dwaj chłopcy pochowali się za plecy ojców, a Mateusz Jarząbek pilnie przyglądał się nauczycielowi. Był to młody człowiek, chudy, blady. Podszedł do szynkwasu i kupił sobie bułkę za pięć groszy. Pewno musiał być głodny, bo odłamał kawałek i jeść zaczął,—ale widać, że nie lubił karczmy, bo rozejrzał się łagodnemi oczyma naokoło i szedł z powrotem ku drzwiom, gdy wtém Wojtuś, syn Jarząbka, zza pleców ojca zawołał:

— Ku-ku! ku-ku!

Nauczyciel stanął i zaczerwienił się mocno.

Wtedy mały Kubuś wlazł pod stół i także zakukał:

— Ku-ku! ku-ku!

Wszyscy trzej gospodarze, Jarząbek, Olszewski i Brykała, patrzyli na wystraszonego nauczyciela i zaczęli się śmiać głośno:

— Ha, ha, ha!

— O téj porze kukułka to rzadkość,— mówił Brykała.

— Wesołe chłopaki!—rzekł Jarząbek.

— A kiedyż mają być wesołe, jeśli nie teraz?—dopowiedział Olszewski.

Brykała aż się za brzuch trzymał, tak się śmiał.

Wtedy nauczyciel pokiwał głową i rzekł:

— Oj, panowie gospodarze, źle robiciel Wstyd wam, hańba!

— A bo co?—zapytał Jarząbek, patrząc ostro na chudego nauczyciela.

— Co ja wam złego zrobiłem, że mnie zaczepiacie? czego ode mnie chcecie?

— A bo to kukać niewolno? — zapytał Olszewski,—przecie tu nie kościół, jéno karczma....

Nauczyciel na to odpowiedział:

— Do szkoły waszych dzieci nie posyłacie, do karczmy je prowadzicie, pić uczycie, prześladować bezkarnie spokojnych ludzi pozwalacie...

— Kto tu prześladuje?—zawołał Jarząbek.

— Pamiętajcie: kto złe sieje, nieszczęście zbierze... A czy dzieci wasze umieją czytać?

Jarząbek stuknął szklanką o stół i rzekł:

— Mój dziad czytać nie umiał, mój ojciec czytać nie umiał, ja czytać nie umiem i mój syn czytać nie będzie! Dzięki Bogu, nie potrzebowaliśmy tego i potrzebować nie będziemy. A tobie wara! Nie tkaj nosa, gdzie nietrzeba!

Nauczyciel pobladł, oparł się o ścianę.... pokiwał smutnie głową i rzekł:

— Nie tkam ja nosa.... nie zaczepiam nikogo. Trzy lata temu prosiłem, abyście dali dzieci do szkoły; nie chcieliście... Bóg z wami, panowie gospodarze! Lecz pamiętajcie, że w błędzie jesteście. Inne dziś czasy; majątek znaczy dużo, ale nauka... więcéj. Grunt można stracić, nauki—nigdy. Przekonacie się! o, przekonacie się!

— Ej, nie rozpuszczaj gęby!—krzyknął Jarząbek.—Z nas żyjesz. Kto ci płaci?... Gmina. A gmina to my!

— Nie macie co wymawiać, panowie gospodarze. Biorę ja sto rubli na rok, z których połowę matce choréj posyłam... Nad szkołą dach dziurawy... Oj, cierpię ja, cierpię. Patrzcie, ta bułka to mój obiad cały; zapiję wodą i dosyć... Lecz mimo to wszystko, ja chcę wam zrobić dobrze, ja chcę rozproszyć ciemność w waszych głowach, ja niosę wam światło. A wy... wy mną poniewieracie!

Teraz Jarząbek zawołał:

— Milcz ty, krawiecki synu! W miasteczku tobie siedzieć, a nie uczyć nasze gospodarskie dzieci. Co tam wyjeżdżasz ze swemi naukami... Nasze dzieci będą gospodarzami, a ty zawsze będziesz chodził bez butów!

Chudy nauczyciel spostrzegł, że niedobrze zrobił, wdając się w rozprawę z ludźmi, którzy się piwa napili; dlatego też westchnął ze smutkiem, zbliżył się do drzwi, i powiedziawszy: „Niech będzie pochwalony“, wyszedł z karczmy.

Rozdział drugi

o tém, że Mateusz Jarząbek jest bardzo rozumny, a Barbara Jarząbkowa bardzo tłusta.

Mateusz Jarząbek był najbogatszym gospodarzem we wsi Starych Budach, gdyż miał sto dwadzieścia morgów gruntu, sześć wołów, osiem koni, dwanaście krów, nie licząc cieląt i jałowizny. Był on też i najrozumniejszym z całéj wsi: co powiedział, to było święte. Oj, będzie bieda nauczycielowi, jak się po gminie rozniesie, że go Jarząbek zwymyślał; pewnie mu z jakie pół roku pensji nie wypłacą, a zimą to pewnikiem drzewa na opał nie dostawią.

Bywało, gdy we wsi potrzebuje kto rady, idzie do Jarząbka; gdy komu bydlę zachoruje, idzie do Jarząbka; gdy gospodarze na mokrą wiosnę albo suchą jesień boją się siać, to patrzą tylko na Jarząbka i robią, co on robi; gdy on czeka, oni czekają; gdy on sieje, i oni sieją,—a zawsze dobrze na tém wychodzą.

I jako ojciec rodziny, Mateusz Jarząbek był najszczęśliwszy z ludzi. Miał żonę Barbarę, nizką ale za to grubą i gospodarną kobiecinę. Kręciła się ona po domu, oborze i chlewach, jak mucha w ukropie, i cały dzień skrzeczała niby kokoszka. To też w gospodarstwie było ładnie i składnie.

Zeszłéj jesieni wzięli mu jednak syna do wojska. W domu zostało jeszcze dwoje dzieci: wesoły Wojtuś, podobny zupełnie do ojca, i pyzata Kaśka, jak kropla wody podobniusieńka do matki.

W Starych Budach więcéj Jarząbków nie było; ale zato byli w Nowych Budach, nad samą granicą pruską. Jednakże tamci Jarząbkowie byli to ludzie ladaco, próżniaki, żyjący z kontrabandy, to jest z przewożenia nocą przez granicę spirytusu i różnych towarów. Jeden z tamtych Jarząbków niedawno zapił się na śmierć, a drugi, który miał na imię także Mateusz, był człowiekiem najgorszego prowadzenia się.

Dlatego nasz Jarząbek o swojéj dalekiéj familji nie lubił mówić. Ale zato z chęcią opowiadał, że ma w Warszawie bogatego krewniaka, który przed laty czterdziestu wywędrował z domu i tam się na handlu bardzo dorobił. Niktby może o nim we wsi nie wiedział, gdyby nie ksiądz proboszcz, który się z nim przypadkiem poznał w Warszawie. Po powrocie do domu ksiądz proboszcz wezwał raz w niedzielę do siebie Jarząbków i opowiedział, że krewny kłania się im, że jest bardzo bogaty, że ma dwa duże domy, mieszka jak pan; a że jest bezdzietny, to umierając o familji swojéj nie zapomni...

Rozdział trzeci

o tém, jak bardzo rozumny człowiek nie zdołał przeczytać głupiego listu.

Gdy Jarząbek wracał do domu, żal mu się zrobiło biednego nauczyciela, gdyż choć Mateusz Jarząbek przy swém bogactwie i rozumie był popędliwy, ale w gruncie rzeczy miał dobre serce. Nawet gdy zajechał na swoje podwórze, było mu jeszcze markotno. Kazał parobkowi odprządz konie, a sam z Wojtusiem wszedł do chałupy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—powiedział przestępując próg.

Pani Mateuszowa odrzekła:

— Na wieki wieków! Patrzaj, przynieśli pisanie od sołtysa, ale niewiedzieć co to jest...

To mówiąc, podała mężowi list, zapieczętowany czerwonym lakiem i mający na sobie markę oraz kilka stempli pocztowych.

Jarząbek zdziwił się bardzo, nigdy bowiem w życiu listu nie odbierał; ale zarazem się ucieszył, gdyż, jako człowiek rozumny, domyślił się wnet, że to list od syna wziętego do wojska.

Usiadł na ławie, rozciął kopertę, wyjął list i zaczął oglądać go na wszystkie strony. Kręcił głową... to przysuwał papier do okna, to przybliżał do oczu i mruczał sobie:

— Doprawdy, że to dziwo... cosik tu jest, a niewiedzieć co....

Pani Mateuszowa ciekawie patrzała na męża, a potém rzekła:

— Ot, pojechaćby do nauczyciela, albo konie posłać, toby przyjechał i przeczytał.

Jarząbek odpowiedział:

— Et, gadaniel Toć i we wsi znajdzie się kto....

— Ciekawam kto?... Dzieci do szkoły nikt nie posyła, a starzy się nie uczyli.

— A Marcińczyk?...

Mateuszowa nic nie odpowiedziała, jéno wyszła prędko z izby i posłała po zagrodnika, starego Marcińczyka, który niegdyś służył w wojsku, a mieszkał o miedzę.

Marcińczyk, człowiek już siwy, przyszedł, siadł za stołem, położył przed sobą list, podparł głowę —i zaczął się przyglądać. Wszyscy na niego patrzali.

Nareszcie tak przemówił:

— Nie, nie poradzę... nie mogę przeczytać! Poznałem tylko, że to list z bardzo daleka, od waszego syna. Widzita, miałem ja dawniéj takie szkiełka, co się nazywają okulary, to przez nie wszystko czytałem; ale Magda zdjęła je znad belki i dała dzieciom do zabawy. Ot... i zginęły! Mówią, że świnia zjadła!

— Oj szkoda, szkoda,—rzekła Mateuszowa.

A Marcińczyk dodał:

— W całéj wsi nikt nie przeczyta, jéno głupia Jagna, co to służyła przy dworze.

— Niéma jéj—rzekł Wojtuś, — wczoraj poszła z Dudziną na odpust i dopiero za trzy dnie wrócą.

— Trzeba jechać do nauczyciela! Innéj rady niéma—powiedział Marcińczyk.

Jarząbek nie rzekł ani słowa, podparł głowę rękoma, patrzał na list i milczał.

Rozdział czwarty

o tém, jak Mateusz Jarząbek szuka po całéj gminie uczonego człowieka.

Nazajutrz rano Jarząbek kazał parobkowi zaprządz parę kasztanów do bryczki i puścił się w drogę.

W domu myśleli, że pojechał do nauczyciela,—lecz on pojechał do księdza proboszcza.

Tymczasem... trzeba nieszczęścia, że proboszcz mocno zachorował. Jarząbek więc poszedł do wikarego.

Lecz wikary z organistą wyjechał do parafji.

Kto inny to już by sobie nie poradził; ale Jarząbek, jako bardzo mądry człowiek, odrazu znalazł sposób i pojechał do wójta.

Wójta nie było w domu, a wójtowa powiedziała, że jest w kancelarji.

Jarząbek jedzie do kancelarji, lecz tam dowiaduje się, że wójt poluje na kaczki, a pisarz jest gdzieś na chrzcinach.

Teraz Jarząbek, mimo, że bardzo rozumny człowiek, nie wiedział już, co robić, i pomyślał sobie:

— Źle, bardzo źle! Niéma rady; trzeba zrzucić pychę z serca i pojechać do nauczyciela.

Kazał parobkowi zawrócić i siedział na bryce smutny, zamyślony.

We wsi Zawadach konie same stanęły przed karczmą, bo były do karczem przyzwyczajone,—chociaż Jarząbek, jako porządny człowiek, nie był pijakiem, a pił tylko piwo.

— Niechaj konie odpoczną, — pomyślał sobie.

A w téjże chwili zobaczył podjeżdżającą bryczkę, na któréj siedział jakiś pan w czapce z gwiazdką.

Furman stanął, zeskoczył i pobiegł do karczmy zapalić fajkę. Wtedy Jarząbek, jako rozumny człowiek, odrazu pomyślał sobie:

— Kto, kto, ale ten pan to pewnie umie czytać!

Zsiadł więc z bryczki, podszedł i pokłoniwszy się rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków,—odpowiedział urzędnik.

— Proszę wielmożnego pana, niech mi pan przeczyta pisanie od mojego syna, co jest w wojsku.

Urzędnik wziął list, spójrzał na kopertę, zdziwił się bardzo, popatrzał na Jarząbka i rzekł:

— Czy to wy Mateusz Jarząbek?

— Ja.

— Z Bud?

— A z Bud.

Urzędnik zamyślił się, a potém rzekł:

— List jest od syna... przysyła wam pieniądze.

Jarząbek uśmiechnął się i powiedział:

— Ale niech wielmożny pan mi odczyta.

— Nie mam czasu, śpieszę się. Dam wam kartkę do powiatu... tam list wam odczytają i pieniądze wypłacą. Tylko się pośpieszcie dzisiaj.

Urzędnik napisał coś na kartce i dał Jarząbkowi.

Chociaż do powiatu było przeszło trzy mile, Jarząbek kazał zaciąć konie i wesoło pojechał.

Rozdział piąty

o tém, jak Mateusz Jarząbek dostał się do kasy, w któréj nigdy pieniędzy nie wypłacają.

Była już godzina czwarta po obiedzie, gdy Jarząbek dojeżdżał do miasta powiatowego.

Pomyślał sobie:

— No, dzięki Bogu, już skończone moje turbacje.

Opłacił kopytkowe, wjechał na bruk i stanął przed żółtą kamienicą, to jest przed biurem powiatu.

Wszedł do sieni śmiało, otworzył pierwsze drzwi i powiedział „pochwalony“.

— A czego to chcecie, mój gospodarzu?— zapytał jeden z urzędników.

Jarząbek podał mu kartkę i rzekł:

— Przyjechałem po pieniądze, co mi syn przysłał.

Urzędnik przeczytał, uśmiechnął się, a potém zapytał:

— Czy wy Matéusz Jarząbek?

— Ja.

— Z Bud?

— A z Bud.

— Poczekajcie tu, zaraz wam wypłacą.

Przyszli dwaj „ziemscy“, wzięli Jarząbka pod ręce i wyprowadzili z powiatu.

Gdyby Jarząbek nie wiedział, że go prowadzą do kasy, to mógłby pomyśleć, że go zaaresztowali.

Z wielkim honorem prowadzili go przez ulicę, potém przez brudne podwórko, i weszli do ciemnéj sieni. „Ziemscy“ zawołali na stróża, który dużym kluczem otworzył drzwi i wepchnął Jarząbka do napół-ciemnéj komórki.

Takiéj kasy Jarząbek jeszcze nie widział.

. . . . . .

Ale Jarząbek był bardzo mądrym człowiekiem, więc też, gdy stróż zamknął drzwi na dwa spusty, poznał odrazu, że go zamknęli do kozy.

Zaczął bić we drzwi pięściami i wołać
— Hej! otwórzta, hej!
Naraz z ciemnego kąta odzywa się głos:
— Cicho bądź, ty chamie!

Jarząbek obrócił się i ujrzał dwóch ludzi w obdartém ubraniu, leżących na szerokim tapczanie. Jeden z nich był bosy, a drugi w butach.

Człowiek bosy mówił:

— Cóż tak ślépie wytrzeszczasz, ty chamska duszo?

Jarząbek nic nie odpowiedział, gdyż, jako mądry człowiek, odrazu poznał, że to są złodzieje.

Wtedy człowiek w butach podniósł się na tapczanie, pogładził swą potarganą głowę, wyszczerzył zęby i rzekł:

— No cóż, mój gospodarzu, za co to was wpakowali do ula?.. za bijatykę, czy za kradzież?

Jarząbek wyprostował się, spójrzał dumnie na złodziejów i rzekł:

— Ja jestem porządnym gospodarzem!

Bosy na to odpowiedział:

— My także jesteśmy porządni ludzie, tylko nieszczęśliwi... Jak komu co zginie, to nas zaraz do kozy pakują.

Obaj złodzieje zaczęli się śmiać głośno.

Jarząbek milczał i zaczął rozmyślać o swojém głupiém położeniu. Nawet zaczął się kłopotać o konie i bryczkę, gdyż nie wie-

dział, że parobkowi starszy „ziemski“ kazał już do domu odjechać i powiedzieć gospodyni, że Jarząbek nie wróci dzisiaj.

Rozdział szósty

o tém, jak dziecko biednego stróża umiało więcéj niż bogaty gospodarz.

Jarząbek przesiedział takim sposobem dwa dnie w kozie, a nikt go do śledztwa nie brał, gdyż ani naczelnika, ani sędziego śledczego nie było w domu.

Chciał gadać ze stróżem, ale stróż kładł palec na ustach, na znak, że mu gadać niewolno.

Dopiero na trzeci dzień pod wieczór stał się szczególny wypadek: do biura powiatu przyprowadzili zakutego w kajdany człowieka, przemytnika, który tydzień temu, niosąc przez granicę spirytus, ranił śmiertelnie żołnierza straży pogranicznéj.

Gdy go urzędnik w biurze jął wypytywać, okazało się, że to jest Mateusz Jarząbek...

Zdziwili się urzędnicy, nie wiedzieli bowiem, że jest dwóch Mateuszów Jarząbków: jeden w Nowych Budach, a drugi w Starych Budach. Więc też zaraz wypuścili dawnego Jarząbka.

Oj! zmizerowany on był, zmizerowany!

Dwie noce nie spał, bo spać na takim brudzie niemożna było,—i nie jadł z rozpaczy, i z nikim nie rozmawiał, bo nikt z nim mówić nie chciał.

Jarząbek ledwie chodził z osłabienia.

Najpierw zlitował się nad nim stróż z aresztu; poprosił do swéj izby, przyrządził herbatę i powiedział:

— Żal mi was, panie gospodarzu, iż tyle cierpieliście przez pomyłkę. Ja nie mogłem z wami rozmawiać, gdyż mi niewolno.

Jarząbek, jako człowiek rozumny, mówił, że cierpienia swoje ofiaruje Panu Bogu, i że teraz chciałby się dowiedzieć naprawdę, co się znajduje w liście.

Stróż odpowiedział, że pisanego czytać nie umie, ale jego synek potrafi. Przywołał więc siedmioletniego chłopczyka i kazał mu czytać.

Jarząbek się zdziwił, że takie małe dziecko, i to dziecko biednego stróża, było już tak wyuczone.

List zawierał następujące wyrazy:

„Warszawa, dnia 1 Czerwca.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Kochany Mateuszu! Jestem ja wasz krewny i nazywam się Wojciech albo inaczéj Albert Jarząbek. Ojciec mój—Panie świeć nad jego duszą—Kajetan (pewno go znaliście) był organistą w Drągach. Błogosławię go codzień za to, że mnie nauczył czytać, pisać i rachować. Na handlu doro-

biłem się dużego majątku, a nie mając dzieci, postanowiłem przed śmiercią dopomódz mojim krewniakom. Dwa domy zapisałem już na dobroczynność i mam na nich dożywocie, co mi wystarczy do końca życia; gotówkę zaś, która wynosi przeszło 50 000 rubli, chcę wam, kochany Mateuszu, darować i wręczyć wam ciepłą ręką. Ksiądz proboszcz mówił mi, że jesteście porządnym, rozumnym i gospodarnym człowiekiem; kupicie więc sobie duży folwark, a Pan Bóg wam dopomoże. Ale ponieważ ja jestem już stary i czuję się niezdrów, to bądźcie łaskawi przyjechać zaraz, natychmiast po otrzymaniu tego listu. W Warszawie zapytajcie się o ulicę Nowy-Świat, dom Jarząbka,—a każdy wam łatwo pokaże. Czekam na was, kochany Mateuszu, i załączam dla całéj waszéj rodziny szczere życzenia.

Krewny i przyjaciel
Albert Jarząbek.“

— O Jezu, Jezu!—krzyknął uradowany Jarząbek,—a to szczęście! Chwała niech będzie Najwyższemu!

— Szczęście, szczęście!—wołał zdziwiony stróż.

Gdy Jarząbek, z radości odzyskawszy siły, wyszedł na ulicę, spotkał żonę, która dwa dnie szukała go i szukała. Opowiedział jéj wszystko.

Chciał zaraz jechać do Warszawy; ale

ponieważ na kolej żelazną było dziś już zapóźno, przeto Jarząbek postanowił wrócić do domu, przebrać się i pojechać rannym pociągiem.

Rozdział siódmy

o tém, jak Mateusz Jarząbek obiecuje z bogatego chłopa zrobić się bogatym panem.

Jarząbek, wróciwszy do domu, chociaż był strudzony i zmizerowany, zaczął się wybierać w podróż.

Wieczorem przyszli sąsiedzi i kumowie, przybiegła też „głupia Jagna“ i zaczęła list czytać.

Wszyscy słuchali i dziwowali się,—a najbardziéj dziwował się stary Michał Kłoda i nie mógł pojąć, jak to można z takiego głupiego papierka wydobyć takie piękne słowa.

Jarząbek położył się wcześniéj, aby wynagrodzić przebyte niewygody. Obudził się jednak zaraz po północku, wziął ze sobą trzydzieści rubli na drogę, do kobiałki włożył chleba, séra i słoniny, ubrał się w granatową sukmanę i nowe buty, i jeszcze przed świtem wyruszył z domu. Przy odjezdném żona płakała, Wojtuś otworzył gębę, Kaśka stała zdziwiona, a Mateusz Jarząbek, już siedząc na bryczce, zawołał:

— Cichojta, cichojta!... Za kilka dni przywiozę pieniędzy.... Kupiwa folwark.... abo i dwa folwarki!

Rozdział ósmy

o tém, jak Barbara Jarząbkowa umiała być wielką panią.

Po wyjeździe Jarząbka w jego domu w Starych Budach było gwarno. I krewni, i kumowie, i kumoszki, i sąsiedzi, i sąsiadki od rana do wieczora przychodzili, a wypiytywali, a dziwili się, a składali życzenoa... Niektórzy nawet kłaniali się Jarząbk wéj, niby jakiéj dziedziczce.

Pani Barbara przyjmowała życzenia i pokłony ochoczo. Stół zastawiła mlékiem i mięsiwem. Nie brakło tam chleba,—i butelczyna wódki zawsze się znalazła. Więc jedli, pili i gawędzili wesoło.

— Co zrobita z tylą pieniędzy, moja kumo?—pytał Wojciech Kubiak.

Jarząbkowa odpowiadała na to:

— Kupiwa od pana Dęboszyńskiego folwark, albo i dwa folwarki, kupiwa łąkę od Mleczarka i las kobyliński...

Nazajutrz to już gadali o szczęściu Jarząbków nietylko we wsi, ale i w całéj gminie, a nawet w całéj okolicy. A na trzeci dzień przyjechał sam pan Dęboszyński, właściciel dużego ale obdłużonego majątku.

Był to bardzo dobry pan, z dobrém sercem; ale rachować się nie umiał, to też zbiedniał.

Przyjechał on powozem, wszedł do izby, powitał wszystkich po chrześćjańsku i powiedział:

— Droga pani Jarząbkowo, słyszałem o waszém szczęściu. Niech wam Bóg pomaga. Mówili mi, że macie ochotę na moje folwarki.... Kupcie, dalibóg kupcie! Sprzedam niedrogo. Sami zrobicie dobry interes, a i mnie wygodę uczynicie.

Siadł więc pan Dęboszyński za stołem i rozmawia z panią Barbarą. Ona mu powiada, że ma wielkie kłopoty, że naprzykład dziś przyszło jakieś „pisanie“ ze stacji koleji, za które musiała rubla zapłacić, a którego odczytać nie może.

Pan Dęboszyński kazał sobie pokazać owo pisanie i przekonał się, że to jest telegram od pana Alberta Jarząbka. Pisał on: „Kochany Mateuszu, czuję się chorym, przyjeżdżaj natychmiast, dostaniesz pieniądze“.

Odczytawszy to, pan Dęboszyński rzekł:

— Chwała Bogu! już teraz ma pieniądze w ręku! No, kochana pani Jarząbkowo, zrobimy interes; kupcie folwarki. Tylko dajcie mi słowo, że się z nikim nie wdacie w handel.

To mówiąc, wziął panię Barbarę za rękę, a ona rzekła:

— Ale proszę pana, gdziebyż tam! Już to my dla pana zrobiwa! Kupiwa obydwa folwarki!!

Nazajutrz pan Dęboszyński znowu przyjechał. Jarząbka jeszcze nie było.

I na trzeci dzień po obiedzie znów jest pan Dęboszyński.

— No cóż, kochana pani Jarząbkowo,— rzekł,—co słychać nowego?

— Ot, proszę pana, czekamy i czekamy, a od wyglądania aż nas oczy bolą,—rzekła pani Barbara.

Na podwórzu pod lipą stał duży stół, nakryty białym obrusem i zastawiony jadłem. Za stołem siedzieli kumowie, krewni i sąsiedzi.

Gospodyni prosiła pana Dęboszyńskiego, aby siadł przy stole; on z chęcią to uczynił i zajął miejsce pomiędzy Bartłomiejem Nosalem a starą Bruzdziną. Rozmawiali bardzo wesoło.

Pani Barbara postawiła przed każdym szklankę herbaty i prosiła, aby sobie dolano araku z butelki.

Pan Dęboszyński wolał pić herbatę czystą, ale zato Nosal dolał sobie trzy łyżeczki araku, a Wojciech Ziemba najpierw upił sporo herbaty, a potém dolał araku do pełna.

Oj, wesoło też gawędzili! Pan Dęboszyński umiał gadać, bo umiał. Najpierw powiedział, że arak jest niezdrowy; zaś Nosal mówił, że jak był raz w mieście w zajeździe u Mendla, to pisarz gminny kazał

sobie podać herbaty ze śmietanką od czerwonéj krowy. Domyśla się, że to znaczyło arak.

Pan Dęboszyński przemówił w taki sposób:

— Kochani moji bracia gospodarze! Człowiek powinien pić napoje zdrowe, a niemocne; do takich należą miód i jabłecznik. W południowych Niemczech i Francji każdy chłop zrobi sobie kilka dużych beczek jabłeczniku i ma na cały rok napój tani, zdrowy i przyjemny. Robić jabłecznik bardzo łatwo: najgorsze gatunki jabłek ściska się w drewnianéj prasie; do wytłoczyn dodaje się kilka razy wody i znów się ściska; sok zlewa się do beczek, w których on sam przez dwa tygodnie fermentuje; potém trzeba ściągnąć do innych beczek, zatkać mocno—i jabłecznik już gotowy.

Wszyscy słuchali pana Dęboszyńskiego, który zaczął dowodzić, że u nas trzeba by włościan nauczyć robienia jabłeczniku; gdy wtém na podwórze przybiegł Wojtuś, wołając:

— Matulu, a dyć ojciec idą!

— A kędy?

— A przez pole, miedzą.

Zerwali się wszyscy od stołu, pobiegli do sadu i spostrzegli Mateusza Jarząbka, skradającego się cichaczem do chałupy. Był on bosy, zmizerowany, a miał na sobie starą cudzą sukmanę. Z trudnością przelazł przez płot, i podpierając się kijem, zgarbiony, dążył do chałupy.

Wszyscy goście stanęli w osłupieniu. Pani Barbara krzyknęła, i rozpostarłszy ręce, pobiegła ku mężowi. Ale on, jakby nie poznał gości, jakby nie poznał żony, spójrzał jakoś strasznie, machnął ręką i wszedł do chałupy.

Zdziwieni goście rozeszli się szepcząc.

Pan Dęboszyński dał znak furmanowi i pocichu wyjechał.

Rozdział dziewiąty

o tém, jak Mateusz Jarząbek niby miał wielki rozum, ale szczęścia nie miał.

Jarząbek zbiedzony, wychudły, nie mówiąc do nikogo ani słowa, poszedł spać. Żona wzdychała i płakała.

Nazajutrz wstał mrukliwy, podjadł, wzdychał, aż nareszcie zaczął opowiadać swoje przygody. Oj, były to ciężkie przygody! Najpierw, gdy przyjechał do Warszawy, napadli go na dworcu dwaj żydzi faktorzy i ciągnęli każdy do swego zajazdu, tak, że o mało Jarząbka nie rozdarli na dwoje. Wdał się w to policjant, odpędził faktorów i nastręczył warszawskiego posłańca, który się podjął uczciwie prowadzić Jarząbka po Warszawie.—Oj, kręciło się Mateuszowi w głowie, gdy szli ulicami. Było to jeszcze przed południem. Rojiło się ludzi jak pszczół w ulu: i panowie,

i panie, i dzieci,—a każdy śpieszył się i śpieszył. Nareszcie przyszli na Nowy Świat do domu pana Jarząbka. Posłaniec znalazł stróża i zaczął go pytać:

— Czy jest pan Jarząbek w domu?

— Niéma.

— A gdzie?

— W kościele.

— A kiedy wróci?

— Już nigdy nie wróci.

— A dlaczego?

— Bo umarł!...

Tu stróż zaczął opowiadać, jak gospodarz, to jest pan Jarząbek, stary kawaler, cały tydzień już był chory, chociaż chodził; jak czekał krewnego, jak posyłał telegram, i jak wczoraj po obiedzie ruszył go paraliż, i umarł; nakoniec—jak lokaj po śmierci gospodarza rozbił biurko, skradł pieniądze i uciekł.

Dziś rano przenieśli już gospodarza do kościoła Ś-go Krzyża. Jutro będzie pogrzeb.

— Szkoda go!—mówił stróż,—dobry to był człowiek, chociaż czasem pokrzyczał.... A tak czekał ostatnie trzy dnie na krewnego, tak czekał! Chodził po pokoju i wyglądał na schody, czy kto nie idzie.

Jarząbek słuchał tych nowin z przerażeniem i osłupieniem. Ale ponieważ był bardzo mądrym człowiekiem, przeto nie chciał wierzyć byle stróżowi, i zapytał:

— A gdzie ten kościół, w którym leży nieboszczyk?

Stróż odpowiedział, że u Świętego Krzyża, niedaleko. Więc poszedł Jarząbek z posłańcem do kościoła.

Oj, duży był to kościół, duży! Szli długim korytarzem do ciemnych podziemi, w których naokoło katafalków jarzyły się świece. Mateusz odrazu poznał nieboszczyka: taka sama twarz, jaką mieli wszyscy Jarząbkowie, i ten sam nos, trochę podobny do dużego kartofla.

Ukląkł, modlił się, a potém mówił do siebie:

— Oj nieboszczyku, czemużeś nie zaczekał dzień jeden! O, czemużem ja o jeden dzień pierwéj nie przyjechał!

Wyszli z kościoła.—Ale Jarząbek był mądry, więc chciał interes gruntownie zbadać. Poszedł do kamienicy i począł rozpytywać stróża, z którym adwokatem najlepiéj się znał nieboszczyk? Stróż odpowiedział, że z tym, co mieszka w ich domu na drugiém piętrze. Jarząbek poszedł tam, pokazał list i opowiedział interes. Adwokat rzekł:

— Czemużeście, mój gospodarzu, wczoraj nie przyjechali? Byłoby inaczéj! Teraz wszystko stracone. Złodzieja lokaja złapali, ale nic przy nim nie znaleźli. Szczwany ten łotr mówi, że go pan wczoraj po obiedzie wypędził ze służby, i że on nic nie wie. Przyjdźcie, mój gospodarzu, jutro rano, a ja tymczasem się dowiem. A zkąd wy jesteście?

Jarząbek podał swe imię, nazwisko i wieś, a potém ukłonił się i wyszedł.

Miał dużo turbacji z noclegiem; a za wszystko płacić i płacić!

Nazajutrz, gdy przyszedł do adwokata, ten mu rzekł:

— Nic nie wskuracie, mój gospodarzu. Jedźcie do domu.

Jarząbek chciał zapłacić za fatygę.

— Niepotrzeba, niepotrzeba, mój gospodarzu, to mała rzecz!

Zdziwił się Jarząbek, że w Warszawie są tacy poczciwi panowie, i niewiele myśląc poszedł na stację koleji.

Na dworcu był tłok ogromny. Jarząbkowi aż w głowie zaczęło się kręcić, bo nie wiedział, gdzie iść.

Zaczęli go ludzie popychać i nareszcie okradli.

Jarząbek odrazu spostrzegł, że jest o dwadzieścia mil od domu bez grosza przy duszy. Ale Jarząbek był to mądry człowiek, więc nie namyślał się długo: wyszedł z dworca kolejowego, rozpytał o drogę, zakasał sukmanę i puścił się do domu piechotą.

Ale w drodze doświadczył głodu, aż zaniemógł; więc musiał sprzedać buty i zamienić sukmanę, a zebrawszy kilka rubli, mógł opłacić noclegi, kupić kawałek chleba, i od czasu do czasu przysiąść się do cudzéj podwody.

Na trzeci dzień ledwo dowlókł się do domu.

Rozdział dziesiąty

o tém, jak Mateusz Jarząbek traci rozum, ale zyskuje szczęście.

Jarząbkowa siedzi za stołem i płacze. Jarząbek podparł się ręką i wzdycha.

Po długiém milczeniu rzekł:

— Matka!

— A co?

— Trzeba Wojtusia i Kaśkę do szkoły...

— Kiej zastare. Wojtuś ma roków czternaście, a Kaśce obróciło się na dwunasty.

— Nic to nie szkodzi. Trzeba i koniec!

A po chwili znów Jarząbek powiedział:

— Dopóki człek siedzi w domu, to jako-tako; ale jak na świat wyjrzy, to bez czytania zginął. Dziś inne czasy.

Pani Barbara obtarła chustką oczy i rzekła:

—Wszystko by to nic, ale wstyd przed ludźmi. Nie wiem, jak oczy w kościele pokazać.

— Ot, moja droga, ludzie są mądrzy, zmiarkowali odrazu, to i pytać nie będą.

— Bogać tam nie! Walentowa teraz złość swoją wytrzęsie. Ona po nabożeństwie mi nie przepuści.... Abo i tacy Poświerkowie.... Nie daj też Boże spotkać pana Dęboszyńskiego.... Taki poczciwy pan! Oj, chybabym ze wstydu pod ziemię się schowała.

— Nie będziemy im do oczu leźli— rzekł Jarząbek.

A spójrzawszy w okno, zawołał:

O la Boga! a dyć pan Dęboszyński jedzie!

— O Jezu!—krzyknęła pani Barbara—ja mu się nie pokażę!

Lecz w téjże chwili powóz zajechał przed dom i pan Dęboszyński wysiadał przed otwartą sienią.

Z izby nie było innego wyjścia. Pani Barbara bez namysłu otworzyła dużą szafę z ubraniem i schowała się do niéj. Jarząbek skoczył za żoną, wlazł szybko do szafy i zamknął się.

Dziwném to się zdawać może, iż taki rozumny gospodarz tak śmiesznie się chowa;—ale Jarząbek tyle już wycierpiał w ciągu dni ostatnich, że stracił głowę i robił to, co żona.

Pan Dęboszyński wszedł do izby i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A zobaczywszy, że niéma nikogo, wrócił do sieni, wyjrzał na podwórze i zawołał:

— Hej, chłopcze, pójdźno tu!

Przybiegł Wojtuś. Pan Dęboszyński zaczął się rozpytywać to o ojca, to o matkę, lecz Wojtuś zalękł się, otworzył gębę i nie wiedział, jak odpowiedzieć.

Pan Dęboszyński zmiarkował, że gospodarzy w domu niéma, więc postanowił do nich list napisać, myśląc sobie, że Jarząbek, jako człowiek rozumny, umie czytać, a jeśli nie umie, to kogoś we wsi do czytania znajdzie.

Pan Dęboszyński był bardzo jakoś wesoły. Zawołał na furmana, aby mu podał

z powozu, zpod siedzenia, małą skrzyneczkę. Postawił ją potém na stole i rzekł:

— Mój chłopcze, umiesz ty czytać?

— Nie!

— To źle! Widzisz, ja tu przywiozłem dla rodziców twojich bardzo szczęśliwą wiadomość i muszę do nich list napisać.

To rzekłszy, otworzył skrzyneczkę, wyjął papier, atrament, ale pióra znaleźć nie mógł.

— Mój chłopcze—rzekł,—a macie wy gęsi?

— Mamy.

— A gdzie z nich pióra chowacie?

— Ot różnie.. Ale i w téj szafie jest trocha.

— A to poszukajmy!

— To powiedziawszy, pan Dęboszyński przystąpił do szafy, otworzył ją.... lecz zaraz się cofnął i zawołał:

— Jezus, Marja! a to co?...

Gruba gospodyni siedziała w kucki na dnie szafy, a obok niéj skulony gospodarz.

— Jak się macie?—zawołał pan Dęboszyński, śmiejąc się,—co wy tu robicie? czy odprawiacie żydowską pokutę?

I śmiał się ogromnie pan Dęboszyński, aż trzymał się za boki.

Najpierw wygramoliła się z szafy pani Barbara i rzekła:

— Ot, proszę pana, trochę odpoczywaliśmy.

Pan Dęboszyński śmiał się jeszcze mocniéj; a gdy zobaczył, że i Jarząbek wyłazi, zawołał:

— Wielkie szczęście wam przywiozłem.

Jest testament. Złodziej przyznał się, gdzie ukrył pieniądze; odebrali wszystko. Dostaniecie 50 tysięcy rubli. Trzeba zaraz jechać.

—Czy to jéno prawda?—zawołał Jarząbek!

— Ależ prawda, prawda. Byłem na stacji; aż tu, panie dobrodzieju, przychodzi telegram z Warszawy do Mateusza Jarząbka, więc ja go zaraz łapię i lecę do was.... Winszuję wam! Wybierajcie się w drogę i idźcie wprost do adwokata, z którym rozmawialiście już o interesie.

Zakończenie,

z którego okazuje się, że Mateusz Jarząbek nanowo stał się i rozumnym i szczęśliwym.

Mateusz Jarząbek pieniądze w Warszawie odebrał, dwa folwarki od pana Dębo-szyńskiego kupił i łąkę od Mleczarka kupił, i las kobyliński kupił. Wojtka i Kaśkę posyła do szkoły,—a co najzabawniejsze, że sam na starość zaczął się uczyć i nauczył się od Jana Kukułki czytać drukowane i pisane.

Dzisiaj Jarząbek zachęca wszystkich do książek i gazety, i często mówi:

— Ej kumie, nie żartujcie, posyłajcie dzieci na naukę! Wiem ja to z własnego doświadczenia, że nauka człekowi nie zaszkodzi, a od wielu nieszczęść wybawi!